Czytanie w czasie zarazy luty 2021

cz. 9.

Doczekaliśmy się prawdziwej zimy! Srogiej zimy, jak dawno temu. W ubiegłych latach, kiedy zima ciepła była i bezśnieżna, narzekano: „co to za zima, dzieci zapomną jak wygląda śnieg” itd. Mamy i śnieg i mróz i jakoś nie słyszę szczególnego zachwytu. Zamiast tego marudzenie, głównie użytkowników samochodów, a to, że ślisko, a to, że zaspy i można się zakopać na amen. Do tego – pandemia ma się dobrze, niestety… Najgorsze są wskaźniki umieralności. Na naszym małym osiedlu (cztery bloki), już 9 osób odeszło do „lepszego świata”.

Szukam pocieszenia w książkach, jak zwykle zresztą. Całe szczęście, że biblioteki pracują i chodzą słuchy, że czytelnictwo w Polsce idzie w górę. To dobrze.

Czytam w dalszym ciągu wiersze wybrane Tadeusz Różewicza, już wkrótce dotrę do końca potężnego tomu. Stwierdzam jednak ze smutkiem, że wiersze Tadeusza Różewicza nie podnoszą na duchu… Pomyślałam sobie, że gdyby poeta nie zrezygnował z kropek i przecinków, tudzież innych znaków, jego wiersze łatwiej wpadałyby w ucho i w serce.

Najwyższy czas wspomnieć o Krzysztofie Kamilu Baczyńskim. Po Różewiczu zamierzam zająć się Baczyńskim. Tymczasem, przypomniałam sobie pewien epizod w moim życiu, kiedy jeszcze pracowałam w szkole i od czasu do czasu przygotowywałam z moimi wychowankami apele (tak to się wówczas nazywało) i w ostatnim z nich było mnóstwo poezji, między innymi „Elegia o chłopcu polskim”, w przepięknym wykonaniu Beaty S. Miałam bardzo utalentowanych uczniów: śpiewających, grających na różnych instrumentach, pięknie deklamujących i co najważniejsze – chętnych. Zapamiętałam, że jedna z polonistek – moja droga koleżanka Janina Oleszkiewiczowa, płakała w czasie występu Beaty. Trzeba powiedzieć, że wiersz ten robi wrażenie. W hołdzie dla K. K. Baczyńskiego, jednego z patronów roku 2021 zacytuję go:

„Elegia o chłopcu polskim”

Oddzielili cię, syneczku, od snów, co jak motyl drżą,

haftowali ci syneczku, smutne oczy rudą krwią,

malowali krajobrazy w żółte ściegi pożóg,

wyszywali wisielcami drzew płynące morze.
Wyuczyli cię, syneczku, ziemi twej na pamięć,
gdyś jej ścieżki powycinał żelaznymi łzami.
Odchowali cię w ciemności, odkarmili bochnem trwóg,
przemierzyłeś po omacku najwstydliwsze z ludzkich dróg.
I wyszedłeś, jasny synku, z czarną bronią w noc,
i poczułeś, jak się jeży w dźwięku minut – zło.
Zanim padłeś, jeszcze ziemię przeżegnałeś ręką.
Czy to była kula, synku, czy to serce pękło?

Ten wiersz napisał poeta 20.03.1944 roku. Zginął w Powstaniu Warszawskim 4 sierpnia tegoż roku.

Moja kolejna lektura, to „Hirszfeldowie. Zrozumieć krew." Autorstwa Urszuli Glensk. To książka dla smakoszy prawdziwej i doskonałej literatury. Spełnia wszelkie cechy dokumentu, powiązanego z tragicznymi wydarzeniami II wojny, a także wątki bardzo osobiste dotyczące tego niezwykłego małżeństwa wybitnych naukowców wymiaru światowego. Hanna i Ludwik Hirszfeldowie, to prawdziwi pasjonaci, którym medycyna zawdzięcza tak wiele, a których tak bardzo w Polsce nie doceniono.

Nie sądziłam, że dokonania medyczne tak mnie wciągną. Pierwsza część – kiedy oboje : Hanna I Ludwik studiowali, dokonywali odkryć, później jako lekarze walczący z chorobami „wojennymi" w Serbii. Koniec wojny i powrót do Polski. Praca twórcza w Zakładzie Higieny w Warszawie.

I … Znowu wojna … Jeszcze straszniejsza niż ta pierwsza. Warszawskie Getto … Pomimo, że autorka stara się dokumentować względnie łagodnie, nie da się czytać tego bez krańcowych, złych emocji. Zagłada! Ludobójstwo w imię czystości rasy.

„Ludzie ludziom zgotowali ten los".

Czy Holocaust nauczył czegoś ludzkość? „Dzieła„ pseudonaukowców o wyższości jednej rasy nad inną powinny być spalone, popiół rozrzucony daleko od siedzib ludzkich, a autorzy dożywotnio zamknięci w szpitalach „bez klamek”.

Wydawać by się mogło, że skoro bohaterowie książki przeżyli II Wojnę, powinni żyć długo i szczęśliwie. Niestety, nie. Wprawdzie ich praca w powojennym Wrocławiu, w trudnych warunkach, gdzie trzeba było wszystko zaczynać od nowa, przyniosła nieoczekiwane rezultaty, nie doczekali się uznania. Wprost przeciwnie! Tym razem kto inny rzucał im kłody pod nogi, pozbawiał możliwości pracy naukowej. Dlaczego? Bo wywodzili się z „niesłusznej„ rasy i nie pomogło to, że czuli się Polakami i wytrwale pracowali dla Polski. Czy teraz jest lepiej? Nie sądzę. Wstyd mi za antysemityzm, który niestety jest! Tu i teraz.

Tzw. polscy patrioci! Nie przyznający się do antysemityzmu, negujący doniesienia o „szmalcownikach”, poczytajcie trochę.

Moje dzieciństwo przypadło na czas II Wojny i nie mogłam sama zdobyć wiedzy o Zagładzie, ale mówiło się o tym w domu, także wymieniało się nazwiska tych, którzy donosili do GESTAPO o ukrywających się Żydach.

W każdym miasteczku, mieście, wiosce, wiedza na ten temat była! Potomkowie wypierali się, nawet ci, którzy niespodziewanie bogacili się.

I na koniec: żadna Filomena nie zatrze przeszłości, to i tak wyjdzie na jaw.

I jeszcze jedno: Jak wyglądałaby nasza kultura, nauka, gdyby takich jak Hirszfeldowie nie było?

Po tak stresującej lekturze, nie mogłam się pozbierać. Nie ma nic do rzeczy, że w czasie II Wojny byłam małym dzieckiem. Mówiło się o tym w domu. Szeptem. Trochę później jednak docierało do mnie coraz więcej. Jestem dumna z tego że w mojej rodzinie nie było antysemityzmu, a babcia, jak mantrę powtarzała, że to M. (Żyd) ją uratował, nie rodacy, kiedy owdowiała i została bez środków do życia z sześciorgiem nieletnich dzieci.

Musiałam się uporać ze stresem i swoim zwyczajem sięgnęłam po antidotum. Ostatnio „karmię się” komedią kryminalną. Nawet wymyśliłam własne hasełko: „ Na wszystkie bóle , smutki – najlepszy jest Alek Rogoziński!”

Tym razem była to „Babka z zakalcem”. Ponieważ ostatnio przeczytałam dwie książki z teściowymi w tle, spodziewałam się ponownego spotkania z Mają i Kazimierą. Wprawdzie zdecydowanie wolę Maję, ale obecność Kazimiery

podkreśla zalety tej pierwszej. Sama jestem teściową i wiem, że różnie bywa, mimo najsolidniejszych starań. Cóż, takie jest życie. Myślę, że nie ma idealnych teściowych, tak jak nie ma idealnych zięciów, synowych itd..

Rozpoczynając czytanie, musiałam poznać nowych bohaterów, przede wszystkim Luizę Mirską – królową ciast wszelkich, tortów i innych wypieków. Przyznam, że mało znam ten wymiar w mediach. Nie jestem i nie byłam nigdy zakochana w kuchni w najszerszym tego słowa znaczeniu i zupełnie nie wiem, co na ten temat oferują media. Wprawdzie czasem, przy przełączaniu kanałów ukazuje mi się jakaś dziwna postać, z przeogromną kopą blond włosów, która „napada" na bogu ducha winnych restauratorów, wrzeszczy na nich, prawie rzuca w nich talerzami z serwowanym daniem, a oni potulnie jej słuchają i prawie płaczą z wdzięczności, kiedy ich pochwali. Gdybym ja była restauratorką – wyrzuciłabym ją za drzwi i robiła swoje. Uważam, że nawet jedno smaczne danie, potrafi przyciągnąć konsumentów, a już nie akceptuję szczególnego „dekorowania" potraw, bo często wabią oko, ale kubków smakowych już nie.

Luiza Mirska jest przeciwieństwem tej medialnej królowej. Jest przystojna (mimo słusznego wieku), jest elegancka, jest dobrze wychowana – same „naj".

Także ma programy w telewizji ...

Rodzinka Luizy, a to już zupełnie inna „para kaloszy" – z jednego pnia wyszli, a są tak bardzo różni. Jest to zarazem przegląd pokoleniowy, ze wszystkimi zaletami i co przeważa – wadami.

Nie będę zdradzać głównego wątku. Kto lubi Alka R. – ten przeczyta. Poplątane dzieje bohaterów, daje się rozwikłać, chociaż muszę przyznać, że niemal do połowy lektury, niektóre postacie myliły mi się i musiałam sięgać do „ściągi"- czyli spisu bohaterów na początku, wraz z ich krótkimi charakterystykami.

Spotkała mnie też przyjemna niespodzianka. Na którejś tam stronie ukazuje się „stary znajomy" – komendant Krzysztof Darski i „stara znajoma" – pisarka: Róża Krull.

W sumie – odprężyłam się i polecam tę formę relaksu wszystkim molom książkowym, zwłaszcza miłośnikom Alka R. Mam nadzieję, że uda mi się coś „Alkowego" upolować w najbliższym czasie, bo najwyraźniej „uzależniłam się".

Mam nową książkę, zupełnie nowego dla mnie autora. Marek Harny i jego „Dwie kochanki". Kiedy zobaczyłam tytuł, zazgrzytałam zębami. Cóż mi kochana

Małgosia podesłała? Przecież wie, że nie znoszę romansów. Pomyliłam się. To bardzo ciekawa, wielotematyczna lektura, chwilami przypomina W. Myśliwskiego. Czytam jeszcze, więc nie chcę przewidywać, jak potoczą się losy Marcina Cichego i czy poznam dokładnie historię Miriam.

A jednak pomyliłam się po raz wtóry! Są kochanki! Dwie – prawdziwe i wiele przypadkowych. To jest jakby uzupełnienie właściwych, poważnych wątków. Widocznie nie udało się autorowi ominąć erotyki, może w sposób istotny dopełniają treści. Zbyt gorące sceny, nawet jeśli wywołują u mnie niesmak – muszę tolerować. Wspomniałam główny temat. Niestety, znowu wojna, Holocaust, partyzanci, niekoniecznie walczący tylko z okupantem. Czasy powojenne, podobnie jak w lekturze o Hirszfeldach, ocaleni doznają prześladowań , błąkają się po świecie w poszukiwaniu miejsca do życia dla siebie. Tylko niektórym się udaje, wielu powojenna trauma dobija.

Nie wdaję się w analizowanie treści, czy źródła informacji, ale mam wrażenie, że w książce jest bardzo dużo samego autora, innymi słowy jest to książka po trosze biograficzna, bardzo mocno osadzona w wydarzeniach, które naprawdę miały miejsce. Poza tym, czeka na czytelnika spora porcja historii wojennej i powojennej Nowego Sącza i okolic.

Doczekałam się! Poznałam historię Miriam. Niestety, nie kończy się happy endem…

Maria Zarańska – DKK Sandomierz